

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA” GIMN. PAŃSTW.
IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

Quidquid agis, prudenter agas.

Chłopcy!

W numerze piątym naszego pisma umieściłem statystykę waszych ocen półrocznych. Mielicie możność przekonać się, że potrzeba jeszcze bardzo dużo pracy z waszej strony, aby postępy w naszej szkole były normalne.

A przecież do tego dążyć trzeba ze wszystkich sił, bo dopiero wtedy, kiedy każdy odruch naszego życia społecznego będzie wykazywał cechy normalne, będzie można mówić o zupełnym ugruntowaniu naszej państwowości.

Do tego celu prowadzi nie tylko wytężona, ale i *umiejętna praca*.

Nieraz słyszą nauczyciele rozpaczliwe skargi ucznia, którego wiedza wykazuje wielkie braki, że on przecież jest bardzo pilny i więcej pilnym być nie może.

Są dwa powody takiego stanu: albo uczeń jest zupełnie niezdolny, albo też *nie umie pracować*.

O pierwszej kategorii mówić nie będę, bo uczniowie niezdolni będą musieli prędzej czy później szkołę opuścić, zresztą liczba ich jest znikoma.

Druga kategoria uczniów jest niestety bardzo liczna; jest bardzo dużo uczniów, którzy mogliby wykazywać dostateczne lub też nawet dobre postępy, a jednak stale wykazują wielkie braki.

Ci uczniowie *nie umieją pracować*.

Żeby praca była owocną, *trzeba się rozumnie do niej zabrać*.

Przedewszystkiem należy sobie zupełnie jasno zdawać sprawę z tego, że *każda praca powinna podczas swego trwania absorbować całego człowieka*, że więc wola pracującej jednostki w czasie pracy powinna być jaknajintensywniej skierowana do jednego celu.

Każde, chociażby przejściowe tylko, oderwanie uwagi od właściwego celu pracy, obniża energję pracującej jednostki i wpływa odpowiednio ujemnie na wynik pracy.

Myśl o piłce nożnej nie pomoże z pewnością do prędkiego odrobienia lekcji, nie da dobrego wyniku pracy i przeszkodzi w używaniu swobody po pracy.

A więc bez należytego skupienia rozumu i woli niema owocnej pracy umysłowej.

Do tego potrzeba też pewnego *spokoju ducha*, do którego każdy człowiek od wczesnej młodości zaprawiać się powinien.

Ten spokój ducha da wam *pogodę ducha*,—a ta pozwoli woli waszej odpowiednio działać i da rozumowi waszemu możność takiego podziału pracy, jaki dla zdolności przyrodzonych każdego z was jest najodpowiedniejszy.

Wtedy będziecie umieli przeprowadzić *rozumny podział pracy*, to znaczy: uświadomicie sobie, jakie przedmioty od was większego—a jakie mniejszego wymagają wysiłku.

A bądźcie przekonani, że każdy przeciętny uczeń, postępując według tych wskazówek, wykazywać będzie postępy najzupełniej dostateczne.

Józef Jentsch.

Kurator „Filarecji”.

Po karnawale.

*Klasyfikacji minął już czas,
I ani śladu poprawy;
Jakoś nauka idzie wciąż w las,
Nie mogąc przerwać zabawy.*

*Nie jeden, czasem powie tak z nas:
„Ach jaki pracy mam nawał!
Wziąłbym się przecież nie jeden raz,
Lecz wszystko przez ten karnawał”.*

*Minął ten „miły raj” wreszcie już,
Pora się pracy zaczęła,
Wszak życie nie ściela się nam z róż,
Trzeba więc wziąć się do dzieła.*

*Bo w życiu zawsze zwycięży ten,
Co wcześniej wziął się do pracy,
Młodość zaś mija tak jak sen,
A my jeszcze młodzi, junacy!*

M. M.

EMIGRANT.

Patrzył...

Patrzył na zbiorowisko światel, wyobrażających port i miasto. Raz znikwały mu one, gdy okręt zanurzał się w doliny i jary wodne, to znów ukazywały się, gdy statek był na szczycie fal. Patrzył na owe punkciki świetlne z taką usilnością, że aż oczy zachodziły mu łzami, ocierał je machinalnie i znów patrzył. Lecz wkrótce poszczególne światła, co mniejsze, poczęły się zacierać, mętnieć i znikać.

Po jakimś czasie zostało jedno potężne — latarnia morska. Patrzył, jak jej promienie, ścieląc się na grzbietach fal, ślizgając się po nich, przybiegały aż do niego i pod nim załamywały się, na nim się zatrzymywały, śląc mu jakby ostatnie życzenia i błogosławieństwo ziemi ojczystej i rodziny, tam na lądzie pozostawionej. Wreszcie i one znikły, wtedy otoczyła go ciemność, cisza i powaga nocy. Po raz pierwszy oderwał znużone oczy od tego miejsca na horyzoncie, poza którym ukryła się jego ziemia ojczysta i rodzina, i przeniósł je na zachód, na ów zachód tajemniczy, do którego dążył, do którego pchało go pragnienie polepszenia bytu ukochanych.

Miał nadzieję, że w Ameryce los jego się poprawi, że zrobi tam dużo pieniędzy i pieniędzmi podniesie nędzną wegetację swej ubogiej rodziny. Sądził zresztą, że w Ameryce nic gorszego nie może spotkać niż w ojczyźnie, we Francji.

Mógł się spodziewać tylko polepszenia.

Patrzył więc z ufnością i nadzieją na zachód, ów tajemniczy zachód, za pośrednictwem swej wysłanniczki nocy, wysłał go

w siebie i odzierał go z promieni i sideł ziemi ojczystej. Zagarniał wyłącznie dla siebie, przyjmując go w milczeniu pod swoją opiekę.

Ktoby przypadkiem zabłądził w ustronną okolicę, zdała od miasta, zobaczyłby samotnego człowieka, patrzącego z uporem maniaka na morze w stronę wschodnią.

Tym samotnym człowiekiem był ów emigrant, kilka lat temu opuszczający Francję i szukający na zachodzie chleba i majątku.

Na nowej ziemi szczęście mu służyło. Wkrótce po przyjeździe dostał w fabryce dobrze płatne zajęcie, tak że nie tylko sam się żywił i rodzinę, lecz także mógł zbierać oszczędności. Po pięciu latach takiego życia w Ameryce zebrał dość dużą sumkę. Chciał tedy wracać do Francji i z radością i niecierpliwością wyczekiwał wymarzonej chwili odjazdu. Wyobrażał sobie radość rodziny, gdy otrzyma list uwiadamiający ją o jego powrocie.

Widział już jakby w rzeczywistości swój powrót do ojczyzny. Lecz najpiękniejsze jego plany zostały nagle zmiażdżone przez wybuch wojny. Oto pewnego dnia spostrzegł na ulicach miasta olbrzymie rozgorączkowanie i ruch. Redakcje były obłożone. Co chwila ukazywały się nadzwyczajne dodatki. Z nich dowiedział się, że Niemcy wypowiedziały wojnę światu, a przedewszystkiem Francji.

Później dowiedział się, że zgwałciły one wszelkie układy, i opierającą się gwałtowi Belgję druzgotały w straszliwy sposób, zaczęły zajmować i zalewać pogranicze francusko-belgijskie. Wtedy zadrżał o ukochanych. Przecież oni zamieszkują na pograniczu, więc i ich fala pruska może ogarnąć, zalać i zgnieść. Później usłyszał o okropnych gwałtach Niemców, o nakładaniu kontrybucji, o mordowaniu opierających się.

Odtąd zaczął chodzić wieczorami nad brzeg morza i wpatrywać się we wschodni kraniec widnokregu. Zdawało mu się bowiem, że gdy jest nad brzegiem morza, jest już znacznie bliżej kraju. Trzeba tylko przebyć morze, by się w nim znaleźć.

Lecz to było nadzwyczaj trudne.

Na ocean odrazu wytoczyły się całe eskadry łodzi podwod-

nych, które zdradziecko, z ukrycia topiły wszelkie okręty, nie oszczędzając nawet tych, które przewoziły rannych i chorych.

Komunikacja stała się prawie niemożliwa.

Po pewnym czasie wyczytał, że straszliwe niebezpieczeństwo zupełnej i nagłej zagłady Francji minęło, lecz że Niemcy, cofając się, niszczą w straszliwy sposób ogniem i mieczem północne departamenty Francji, mówiąc, że to jest tylko zapłata za zniszczenie Palatynu Reńskiego przez Ludwika XIV.

Skutkiem tych wieści nadlatujących z Europy coraz dłużej siadywał nad brzegiem morza, i coraz usilniej wpatrywał się we wschodni kraniec widnokregu, truchlejąc o los najbliższych.

Tymczasem wojna szalała. Wyrosła na wojnę wszechświatową. Wojna.....

To straszliwe słowo przewalało się przez całą kulę ziemską, obwijało ją sobą.

Echo tego słowa coraz potężniało, rosło, olbrzymiało.

Jak grzmot w górach, który nie tylko nie milknie, lecz obijając się o nie, potężnieje, przewala się po nich, hukiem swego głosu porusza i zwała lawiny, które, runąwszy w dół, niszczą, lecz i oczyszczają, tak i słowo wojna obijając się o państwa, rządy i ludy, potężniało, naginało wszystko do swoich potrzeb, wywoływało bitwy, które jako lawiny uderzały o państwa, druzgotały dawny porządek, grzebały dawny ustrój, lecz i powoływały do życia ludy przedtem gnębione.

Oczyszczaly świat.

Wszystkie ludzkie mózgi, mięśnie i nerwy pracowały dla wojny. Dla wojny pracowały fabryki, dla wojny uczeni odkrywali coraz nowe prawa, całe piśmiennictwo było na usługach wojny.

Pisało dla niej i o niej.

Można powiedzieć, że ludzie mogli tylko myśleć i mówić o wojnie.

Wszystko było dla wojny.

W swoje potężne tryby wciągnęła ona i naszego bohatera. W swej fabryce pracował on dla wojny, a raczej nie dla samej wojny, lecz w celu zgnębienia (nienawistnych mu Niemców.

Niemców, tych odwiecznych wrogów Francji, którzy to, mówiąc, że są roznościcielami kultury, owoce jej zniszczyli w tak straszny sposób w Belgji i w północnych departamentach Francji

gdy widzieli, że niemogą z nich korzystać. W fabryce pracował tak usilnie, że aż schudł i szczerniał. Nie zważał zupełnie na to. Stał się jedną częstką ojczyzny swojej. Co ona cierpiała, on cierpiał, wszystkie ciosy i radości, jakich ona doświadczała, tak czuł, jakby to jego samego spotkało. I nagle jego nieszczęścia i bóle wydały mu się przy nieszczęściach ojczyzny, jak ziarnko piasku przy górze, tak że ledwie je mógł dostrzec. Zaczął się sam przed sobą wstydzic, że mógł kiedyś tak boleć nad osobistym nieszczęściem. Wydawało mu się, że obraził tem ojczyznę.

Jak wulkan, zda się wygasły, drzemie całe wieki, a właściwie zbiera siły do wybuchu, tak i jego patriotyzm wybuchł nagle z siłą żywiołową i opanował wszystkie władze duszy, serca i umysłu. Zdawało mu się, że zamało czyni dla Francji, pracując w fabryce, lecz że powinien oddać się jej cały.

Myśl ta „prześladowała go ciągle, nie dawała mu chwili spoczynku. Dowiedziawszy się przeto o zaciągach do armji amerykańskiej dla Francji, zapisał się do niej jako ochotnik, nie dbając ani na wiek, ani na rodzinę.

Chciał walczyć za swój kraj i pomścić jego krzywdy. I w kilka miesięcy później jechał, jako część armji, do Europy. Stwierdzał z radością, że wraca do kraju, nie jako robotnik, lecz jako jego obrońca. Wojsko całe było przejęte ufnością w zwycięstwo i wdzięcznością dla tej Francji, która niegdyś w osobie Lafayette'a dała im pomoc, pragnęło spłacić coprędzej ów dług.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym były emigrant zobaczył brzegi ojczyzny. Widok ten napełnił go olbrzymią radością, lecz nie mógł długo nim się cieszyć, gdyż został odwołany do robienia przygotowań do wylądowania. I tegoż dnia wylądowano w Bordeaux. I tegoż dnia „usłyszał przepiękny rozkaz dzienny generała Pershinga, zawarty w krótkich słowach: „Lafayette — jesteśmy”.

Nasz bohater był zupełnie ogłuszony wylądowaniem, odczytaniem rozkazu i powitaniem ojczyzny. Robił, co mu kazano, poruszał się automatycznie. Sprawiał wrażenie człowieka zbudzonego z głębokiego snu, prawie nieprzytomnego. I rzeczywiście był ogłuszony szybkością, różnorodnością i mocą wrażeń.

Potrzebował czasu i spokoju, by się z nimi otrząść i je wszystkie odrazu myślą ogarnąć. Lecz nie dano mu czasu zastanawiać się.

Wypadki posuwały się szybko.

Kompanja jego wyruszała na front, w ogień, w jego rodzinne strony. I oto ujrzał je w tak strasznym stanie i zniszczeniu, że niemógł pojąć, by to zdolni byli wykonać ludzie. Zdawało mu się, że walczyli tu jacyś giganci ze sobą, a niemogąc się pokonać, zaczęli niszczyć plac swego boju.

Oto pod ich dotknięciem miasta, wsie i osady szły w ruinę, zostawały wgniatane w ziemię, kopalnie zostały zalane i zasypane, lasy, gaje, ogrody spalone, zdruzgotane. Ziemia cała wyglądała jak nagie straszne klepisko, miejscami sinawe i czarne od wgniecionych w nią popiołów miast. Gdzieindziej była wyrwiona na nice, poryta w ogromne bruzdy i rowy. Opoka leżała na wierzchu, ziemia uprawna znikła we wnętrzu. Na taki widok serce zamierało w nim w strasliwym skurczu, a jednocześnie szykowało się do skoku i ataku na tych, którzy to zniszczenie sprawili.

On cały cofnął się jakby w siebie, stał się na wszelkie inne sprawy obojętnym. Pragnął tylko ukarania wrogów w takim stopniu, w jakim oni zniszczyli mu ojczyznę. Pragnął zemsty. Odtąd zaczął zupełnie nie zważać na możliwość śmierci, przestał zupełnie dbać o swe zdrowie. Koledzy i przełożeni zwracali mu kilkakrotnie uwagę, by się zbytnio nie narażał, lecz on za przestrogi im dziękował, nie stosując się jednak do nich. Pochwały i zaszczyty sypały się na niego, i choć go cieszyły, nie przywiązywał do nich zbytnej wagi.

Walczył dla samej walki.

Do tego czasu kule omijały go, śmierć go się nie czepiała. Ciało jednak nie mogło znieść tych nadzwyczajnych trudów i zapadł wreszcie na ciężkie zapalenie płuc. Był już nieprzytomny, kiedy znalazł się w szpitalu w Paryżu. Gdy po kilku tygodniach ciężkiego snu, ciężkiej choroby, pierwszy raz otworzył oczy, zobaczył troskliwie pochyloną twarz pielęgniarki.

Poznał w niej swą córkę.

Widmo wojny przestało już wreszcie ciążyć nad światem. Gmorzt tego słowa po kilkuletnim trwaniu, w czasie którego to potężniał, to cichł, aż wreszcie zupełnie zamilkł, rozplynał się w pokoju wersalskim. Z tego pokoju Niemcy wychodziły upokorzone i złamane, a Francja zwycięska i tryumfująca.

Życie zaczęło wracać do pierwotnego stanu przedwojennego.

I oto na minach i gruzach przeszłości powstawało życie, zda się zgnębione i na wieki pogrzebane. Powstawało i potężnie upominało się o swe prawa.

Na jego głos ludzie powracali do porzuconych siedzib i rozpoczynali pracę na nowo. Wraz z innymi wrócił i nasz były emigrant do swego węglowego zagłębia, przekanany, że Francja jest wieczną, a sprawiedliwości zawsze musi się stać zadość. I oto rozpoczął nowe życie, lepsze i dostatniejsze od dawnego, bo wspomagane całym doświadczeniem wojennym i pracą w Ameryce.

A potwory, niszczące jego ziemię, tanki, pracowały nad utwaleniem potęgi Francji i podniesieniem jej dobrobytu.

Medard Wojciechowski.

Z MYŚLIWSKIEJ TEKLI.

Cietrzewie grają!

Nadleciała wiosenka na skrzydłach skowronków i niewidzialną różdżką czarodziejską pobudziła do życia przyrodę. Tchnęła ożywczem tchnieniem na pola i lasy, które zrzuciły wnet gniojące jarzmo zimy, i przepelnione potężnym czarem miłosnym, zbudziły się, by żyć

I była taka cicha, ciepła noc wiosenna, wypełniona jakimiś szmerami tajemnymi i przedziwnymi woniami budzącej się do życia przyrody.

Siedzę w gęstym krzaku olszowym, przedemną łąka pocięta rowami, w okół z cicha szemrze las.

Spokój panuje zupełny.

Czasem tylko załopocze czajka skrzydłami, albo górą przeleci świszczącym lotem kaczką, ale te wszystkie odgłosy zapadają się w ciszę nocną i zdają się jeszcze ją potęgować.

Gwiazdy na wschodzie zaczęły już blednąć, a tuż nad horyzontem pojawia się seledynowy odbłask wschodzącego słońca.

Wraz też, z przytłaczającej wszystko ciszy, wyzwała się srebrzysty głosik skowronka; odpowiadają mu inne i całą kaskadą przezystych tonów witają u stopni tronu Wszecmoc Stwórcy, budzący się dzień... Umilkły tak nagle jak zaczęły i ustąpiły miejsca innym śpiewakom. Już też i bekas niedaje czekać na siebie i raz wraz, wywracając pod obłokami zawrotne koziółki, daje znać o sobie charakterystycznym chichotem.

I jeszcze dwa razy odśpiewały skowronki swą pieśń podniebną, gdy nagle oczarowane innym głosem, który się wkradł do tej cudownej orkiestry, zamilkły...

To skrzydlaty ksiączę lasu, zakochany cietrzew, rozpoczął swój tok...

Z początku nieśmiało, jakby z wysiłkiem, później coraz śmielej, namiętniej, płynie zwrotka za zwrotką czarownej pieśni. Rośnie, potężnieje, łączy się z innymi, co się ozwały w pobliżu, w końcu cała łąka zdaje się nią być wypełniona.

Serce mi bije jak młotem, ręka kurczowo ściska fuzję, ale jeszcze zbyt ciemno, żeby można dostrzedz cośkolwiek.

Upływają powoli minuty podobne do godzin...

Tymczasem wschodnia część nieba rozpała się płomienną purpurą i przesycą powietrze różanym blaskiem.

I oto na kilkadziesiąt kroków przedemną ukazuje się niewyraźny jeszcze cień. Rusza się... Podskakuje... Tak, to on! Zjawia się koło niego drugi i nagle zwarły się ze sobą w szalonym pojedynku, łopocząc skrzydłami i przyskakując do siebie z wściekłością.

Przykładam fuzję do ramienia i oto zawahałem się na chwilę, bo zbrodnią mi się wydała mącić morderstwem piękno muzyki wiosennego poranka.

Lecz żyłka myśliwska przemogła!

Złowieszczym gromem zahuczał strzał...

Podchwyciły go góry i lasy i odbiwszy stokrotnym echem posłały hen! daleko... Aby przestrzegli rozkochanych rycerzyków leśnych, że człowiek wtargnął do ich królestwa i przyniósł z sobą mord i zniszczenie.

St. Konars.

PEAN PUSTYNI.

...I świat się zatrzęsł w posiadach!... Eumenidy rodu człowieka zapaliły swe pochodnie i zanuciły pieśń zagłady... Lud zmartwiał, a Nicość, otworzywszy ramiona, wzywała siły śmierci i zaniku do walki...

Grzmot armat walczącej Europy dotarł do zakątków pierwotnej kultury i wytrącił mieszkańców ze zwykłej kolei ich bytu.

Potężny Frankistan zwołał w kolonjach pod swe sztandary wszystkich mężczyzn, chętnych do walki, na bój z odwiecznym swym wrogiem.

Wezwanie to znalazło odzew w tysiącach tysięcy czarnych wojowników, którzy, pragnąc odznaczyć się i użyć kąpeli w krwi wrogów, chętnie się zgłaszali do t. zw. dywizji „kolorowych”.

W szeregach ich znalazł się i Nabu-ben-Akhbir, szeik swego plemienia, król pustyni, mąż silnej ręki i nieustraszonego serca.

Ciężko mu przyszło rozstać się z rodzinnym krajem. Głos pustyni wnikał do najgłębszych zakątków jego serca, napominał go, aby nie szedł na niepewne losy hen w obce, dalekie, pełne dziwów kraje, gdzie niema precudnych palm, czarownych oaz i Wielkiego Tchnienia pustyni.

Lecz ogólny zapał i zachęty werbowników przemożyły, Nabu-ben-Akhbir, pożegnał się ze swą oazą rodzinną, w której spędził najpiękniejsze, niby wyśnione z bajek lata swego życia, pożegnał wielbłądy wierne, na grzbietach których tylekroć przemierzył wielką przestrzeń piasku, i palmy u źródła, które jakby na pożegnanie zaśpiewały mu pean pustyni, i wreszcie swą piękną Ewełę, której oczy zasnuły się łzami, a na brązowe, jakby wykute dłutem wielkiego szeika—Allaha, ciało, padały rdzawe promienie palącego słońca. Żegnał się z nią długo, obiecując po niedługim czasie wrócić z łupami i w wielkiej chwale, która rozślawi imię wielkiego szeika po całym Zachodzie i Wschodzie. Lecz w sercu jej kłębiły się gnębiące przeczucia i rozsadzały jej pierś w męce rozstania.

...A Nabu-ben-Akhbir wsiadł na olbrzymi okręt potężnych białych ludzi i, ostatni raz wchłonawszy w piersi wiew pustyni i zapach rodzimego brzegu, odpłynął...

A na brzegu została samotna Ewela. Goniąc wzrokiem od-
dalający się okręt i szepcząc w nieludzkim cierpieniu słowa
błagalne: „Allah! O! Allah!”

Przyszły dni grozy... Nadeszły chwile, gdy wszystkie ludy
świata oparły się miazdzącej fali zaborczego germanizmu...

Przyszedł cud Marny... Przyszedł w promieniach nadziei
i rozwarł swe cudne skrzydła w gorejące potęgą blasku słońce...

Dywizje kolorowe walczyły mężnie.

Nabu-ben-Akhbir walczył jak szaleniec. W okropnych za-
pasach, gdy nocnym atakiem ruszano na okopy nieprzyjacielskie,
waleczny szejik z karabinem w dłoni, z swym nieodłącznym
nożem w zębach, biegł na czele, niby uosobienie ducha potęgi
i zemsty. Na piersiach jego widniały już wszystkie odznaki, ja-
kimi Francja nagradzała męstwo swych obrońców,... lecz syn
wielkiego słońca nikł w oczach.

Miesiące zimowe, spędzone w wilgotnych okopach, sprawiły
to, czego nie mogły dokonać ani żar równin afrykańskich ani
bagnety i kule nieprzyjaciół.

Stracił nawet z osłabienia swój zapał bojowy i tylko, drząc
z zimna, z przerażeniem wpatrywał się w równiny pokryte śnie-
giem, który, promieniując zimnem, wżerał się w ciało Afrykań-
czyka. Nabu-ben Akhbir, kaszłąc jak wielbłąd, któremu Sa-
mum sypkim piaskiem zasypał nozdrza i gardło, wiał powoli
niby palma w bezbrzeżnym oceanie żółtego piasku

A po kilku miesiącach na łożu szpitalnem konał ten mężczy-
nyca rycerz pustyni, konał na suchoty... I majaczył mu się w gorączce
rodzinny kraj... Jak w czarownym kalejdoskopie przesuwały się
w jego wyobraźni widma rodzinnej oazy, palm, dawnego, tak
pięknego życia, i marzyły mu się wichry pustyni, walki odbyte,
czary miłości.

Ciągle zdawało mu się, że widzi utkwione w siebie żaloszne,
niby oczy gazeli spragnionej, oczy Eweli, która tam daleko wy-
czekiwała we łzach jego powrotu.

Wzywał go głos pustyni, wycie duszącego wiatru, wieczorne
szmery piasków, opowiadających o minionych wiekach prabytu,
odsłaniających wszelkie tajemnice ludzkości.

Gaśł powoli wolny syn Afryki, jak gaśnie lampa, której zabrakło odżywczej oliwy, i wreszcie pewnej nocy Allah zabrał go do siebie. Zabrał wśród wycia wichru północnego i szumu kropel deszczowych, zabrał jakby wygnańca z ziemi ojczystej.

A on konał z uśmiechem, zdawało mu się, że wszechwładny kismet prowadzi go do ojczyzny. Zdawało mu się że wolno mu będzie choć raz jeszcze odetchnąć powietrzem swej oazy.

.....

Francja sprawiła swemu czarnemu bohaterowi wspaniałą pogrzeb. Nad grobem jego rozbrzmiewały patrijotyczne mowy, huknęły salwy karabinowe, wezwany mułła odśpiewał pienia grzebalne, lecz duch walecznego szejka, płynąc tam, gdzie kończy się Byt, a zaczyna Istnienie, słyszał tylko głos nieśmiertelności jego dalekiej ojczyzny, pean pustyni.

Jerzy Olszewski,

RADOM

(Urywek z opisu miast starożytnych ziemi Sandomierskiej przez Jana Nepomucena Chądzyńskiego. Warszawa 1855 r.)

(Dokończenie).

Teraźniejszy stan miasta i jego położenie.

W przyjemnych równinach i urodzajnych gruntach położony jest Radom, obecnie z 600 domów po większej części muryowanych piętrowych, i pięciu świątyń składa się; ludność jego dochodzi 8,000 dusz różnych wyznań, a najwięcej katolików, trudniących się rolnictwem, wszelkiego rodzaju handlem i rzemiosłami; gust w wyrobach rzemieślniczych, równa się gustowi warszawskiemu, wszystko tu na sposób warszawski jest urządzone: handle, cukiernie, mieszkania rzemieślnicze, magazyny strojów, takiemi jak w Warszawie przyozdobione szyldami i napisami; gmachy w takimże budowane guście; trotuary wyłożone ciosowemi kamieniami. Głosy też same co w Warszawie chłopców roznoszących po ulicach piasek: „Piasku, piasku białego, wiślanego”, nie jednego złudzić mogą, że się znajduje w Warszawie. Do rzeczywistego wszakże wyobrażenia Warszawy brakuje dorożek, tragarzy i kolosalnego pomnika. Dorożki miałyby do kur-

sowania znaczną przestrzeń od rogatek Warszawskich do Krakowskich, i od Lubelskich do spacerowego ogrodu i rogatek Opoczyńskich, a tragarze znaczną odnieśliby korzyść od osób zmieniających mieszkania.

Radom składa się z trzynastu głównych ulic brukowanych, i jednego Rynku; prócz ulicy Warszawskiej, która idzie ku północy, Krakowskiej i Skaryszewskiej ku południu ciągnących się, wszystkie inne mają kierunek od wschodu ku zachodowi, a te są: Spacerowa, Szwarlikowska, Szpitalna, Szewcka, Rwańska, Lubelska, Żytnia, Grodzka, Wałowa i Żydowska.

W rynku istnieje kościół po-Pijarski, zabudowaniami swemi ulicy Wałowej sięgający, które składają się z części murów starego zamku; przeciwległą stronę Rynku stanowi w guście korynckim zbudowany ratusz, z piękną i okazałą wieżą, tyłem swym, w którym zbudowane więzienie, dotyka ulic Szpitalnej i Szewckiej. Przy wschodnim końcu ulicy Szwarlikowskiej, egzystuje kościółek murowany ewangelicki, frontem do ulicy Spacerowej dotykający. Dawny kościół Benedyktynów, dzisiejszy kościół wyznania prawosławnego, rozpoczyna ulicę Spacerową, aż do ogrodu spacerowego ciągnącą się. Przy ulicy Rwańskiej istnieje kościół Farny, a dalej przy ulicy Lubelskiej kościół Bernardynów. Zakończa ulicę Lubelską okazały gmach Rządu gubernalnego Radomskiego, przed którego frontem istnieje plac spacerowy klombami zasadzony; w tejże ulicy ma swe posiedzenie Trybunał Cywilny, a przy końcu ulicy Krakowskiej, szpital Starozakonnych w okazałym gmachu, z spacerowym nowo założonym ogrodem. Na lewo ulicy Krakowskiej postępując ku miastu istnieje kościółek murowany świętych Piotra i Pawła, za Rządu austriackiego na śpichlerz przerobiony.

MAŁY FELJETON.

Kto może to, co chce—jest wielkim. Kto chce to, co może—jest mądrym.

A jak nazwać takiego, który choć może lecz nie chce?

Napewno każdy z czytelników jeszcze raz przeczyta trzy powyższe zdania; dwom z nich przyzna rację bez apelacji, a nad trzeciem pomyśli—prawda?

Właśnie piszącemu te słowa o to chodzi. Czy ten, co może a nie chce, ma rację? Pewnie jeżeli chodzi o rzecz złą, to ma rację, że nie chce. Ba, nawet bardzo mu się to chwali! Ale pocóż zaraz myśleć o złem? Pomyślmy właśnie o dobrem.

Więc może uczynić coś dobrego, a nie chce?! Fe! W tem miejscu czytelnik robi minę „na temat”, a „ów” momentalnie traci w jego oczach sympatję.

— Jakto?! a toż to... to... przecież... to... No! zostawmy tego „owego” na stronie, bo to bardzo niemiła osobistość.

A teraz, niech się czytelnik rozejrzy uważnie dokoła siebie, a z pewnością wykrzyknie:

— O, ten tutaj! To właśnie jeden z takich! Albo tamten! I jeszcze tamten, trzeci, czwarty... o!... piąty!...

Nie warto rachować. Lepiej policzyć tych niewielu, którzy „mogą, więc chcą”.

Znów się czytelnik przygląda dobrze:

— Może ten? E, niezupełnie. Więc tamten? Hm... niebardzo! A cóż znowu! Czy wcale takich niema?!

Prawdopodobnie że są, ale to wyjątki.

— Więc kto? A!... Może ja sam?!

Hm... Autor niniejszego, gdyby nie był takim pesymistą i sceptykiem, jakim jest w stosunku do tego, czy dużo jest takich, którzy „chcą, bo mogą”, odrzekłby wówczas: — Być może... Ale i tego nie powie. Teraz—ad rem.

Mamy w szkole swoje kółka, mamy „Bratnią Pomoc”, „Filarecję”, „Sodalację”, „Drużynę Harcerską”. Wszystkie te organizacje mają na celu nasze własne dobro. Jedne z nich dążą do pogłębienia naszej wiedzy, drugie przygotowują nas do pracy społecznej, inne gruntują w nas zasady etyki chrześcijańskiej; jeszcze inne wyrabiają w nas poczucie obowiązku, solidarności i karności.

I napewno każdy z nas rozumie dobrze, jak wielką powinniśmy przywiązywać wagę do tych organizacji, które postawią nas na poziomie pożytecznych obywateli państwa. Każdy rozumie, że organizacje takie należy koniecznie popierać, by nie tylko mogły istnieć i spełniać swoje zadania, lecz również, aby się mogły rozwijać.

Jednym z najbardziej pierwotnych i prymitywnych sposobów popierania—są składki. Wogóle wszystkie organizacje i stowarzyszenia wymagają składek, bądź mniejszych, bądź większych.

A nasze składki są tak małe! Za ledwie kilkadziesiąt groszy miesięcznie. Gdyby każdy z nas należał do wszystkich organizacji w szkole, nie wiem, czy płaciłby składki ponad 1 zł. A jak te składki wpływają do kas organizacji?

Biedni kasjerzy wołają wielkim głosem, ale to głos na puszczy.

— Jutro, bo dziś „nie wziąłem pieniędzy”.

— Nie mam przy sobie „drobnych”...

I tak codziennie. Zrozpaczony kasjer stawia na liście członków krzyżyki, kropki, kreski, kółka, przecinki, znaczki; замаże całą listę, sam nieraz wpadnie i dokłada, czasem pisze na kredyt—a w kasie pustki!

A przecież te homeopatyczne składki stanowią tak maleńki wydatek naszych kieszeni, iż nikt się chyba nie znajdzie, ktoby twierdził, że nie stać go na to. Ale zato bufet szkolny na każdej pauzie cieszy się niebywałym powodzeniem! I tak niewiele potrzeba: o dwa wafle lub ciastka mniej na miesiąc!

Autor tych słów, sam był świadkiem, jak taki „ów”, co to „naprawdę nie miał” czterdziestu groszy na wpłacenie,—tego samego dnia na zabawie wydał parę złotych w bufecie!...

Nie mówię, broń Boże, by każdy z tych niewpłacających wydawał w bufecie na zabawie. Co znowu! Ale... ot, jakoś się pieniądze rozchodzą i nigdy nie można zdążyć wpłacić...

Dobrze. Cóż jednak łatwiejszego, jak odłożyć te parę groszy w „porę”?!
 Oby to drugie!

Więc jedno z dwojga: zła wola, czy słaba wola?

Oby to drugie!

Hanka.

Turniej szachowy.

Doroczny turniej szachowy przy K. M. „Filarecja” odbył się w tym roku w miesiącu lutym pod przewodnictwem kol. Rdzanka Antoniego, prezesa Kółka Szachistów i kol. Mieszkw-

skiego, sekretarza tegoż kółka. Do turnieju stawało 6-ciu zawodowców. Zwycięscą w turnieju, a zarazem mistrzem na r. 1925 został kol. Mazur Marjan, straciwszy na 10 możliwych do wzięcia 2 punkty. Reszta miejsc ugrupowała się następująco:

Turniej szachowy przy K. M. „Filarecja“	Mazur	Mieszkowski	Jaworski	Czarnecki B.	Prendowski	Czarnecki M.	Grano	Wygrano	Nierozegrano	Przeigrano	Punkty	Miejsce
Mazur M.	—	11	11	11	½1	½0	10	7	2	1	8	I
Mieszkowski	00	—	½	01	11	11	9	5	1	3	5½	II
Jaworski	00	½	—	11	10	1	8	4	1	3	4½	III
Czarnecki B.	00	10	00	—	11	½1	10	4	1	5	4½	IV
Prendowski	½0	00	01	00	—	1½	10	2	2	6	3	V
Czarnecki M.	½1	00	0—	½0	0½	—	9	1	3	5	2½	VI

Pozostaje jeszcze do rozegrania 3 partje, które prawdopodobnie mały wpływ na zmianę układu w tabeli.

Mecz piłki nożnej.

Dn. 28 lutego r. b., na boisku zapasowem 72 p. p. odbyły się zawody piłki nożnej między drużynami: Reprezentacją 4 klasy Gimnazjum Państwowego a Reprezentacją 4 klasy Szkoły Realnej i dały wynik 4:1 (3:0) na korzyść Gimnazjum.

Gra była dosyć ciekawa, bo prowadzona w szybkim tempie. W pierwszej połowie gry mają gimnaziści wybitną przewagę i zdobywają 3 bramki przez Szachowicza, Kapczyńskiego i Nowakowskiego. W drugiej połowie gra więcej równa, jednak prawo-skrzydłowy gimnazjum zdobywa 4-tą bramkę. Dopiero na 10 minut przed końcem Szkoła Realna uzyskuje honorową bramkę z karnego. Rogów 5:2 dla Gimnazjum. Sędziował kol. Prendowski.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Józef Jentsch—Radom, Pl. 3 Maja 1.